

RTCK

Raymond

NADER

Człowiek, który **rozmawia ze św. Szarbelem**



Ostatnie uderzenie **serca**

RTCK

Raymond

NADER

Człowiek, który **rozmawia ze św. Szarbelem**

Ostatnie uderzenie **serca**

Ostatnie uderzenie serca

Raymond Nader dla RTCK SA

Autor: Raymond Nader

Produkcja: RTCK SA

Nowy Sącz 2024

Wydanie I

© RTCK SA 2024

ISBN: 978-83-68230-15-4

978-83-68230-16-1 – EPUB

978-83-68230-17-8 – MOBI

978-83-68230-18-5 – PDF

Redakcja

dr Krystyna Sadecka

Konsultacja merytoryczna

dr hab. prof. UŚ Aleksander Bańka

Korekta

Edyta Buff

Hanna Miera

Skład i łamanie

Adam Gutkowski

Projekt okładki

Katarzyna Halota

Tłumaczenie fragmentów orędzi św. Szarbela z języka angielskiego

s. Chiara Anna Burzyńska SSND

Zdjęcie Autora na okładce oraz zdjęcia na s. 7, 8, 108, 132–133, 136, 143, 148, 164, 170

Dorota Czoch

Zdjęcia na s. 44, 46, 51, 56, 82–82, 99, 102, 106, 113, 117

Aleksander Bańka

Pozostałe zdjęcia

Prywatne archiwum Autora

Niniejszym zaświadcza się, że Raymond Nader jest osobą odpowiedzialną za Rodzinę św. Szarbela (Aylet Mar Charbel) oraz reprezentuje ją przed Kościołem i władzami państwowymi.

Prosimy Boga o pomoc w jego pracy apostołskiej na chwałę i pożytek Jego Kościoła.

*W imieniu władz
diecezji w Aramoun
Antoine Nabil Andari
Wikariusz Generalny
Patriarchy Antiocheńskiego
w regionie Jounieh
1 lipca 2010 r.*

RTCK wydawnictwo

książki, ćwiczenia rozwojowe, kursy



RTCK SA

ul. Grunwaldzka 17, WSB, bud. B

33-300 Nowy Sącz

tel. 531 009 119

sklep@rtck.pl

www.rtck.pl

Dołącz do społeczności ludzi,
którzy chcą robić to, co kochają.
Zapisz się na www.rtck.pl,
a będziemy Cię wspierać na tej drodze,
wysyłając wartościowe materiały!

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE /5

OD WYDAWCY /9

CZĘŚĆ I /12

„Wojna przyszła pod mój dom...” /15

‘The war has come to my house...’

Sekret dziadka /20

Grandpa’s secret

„Ty nie istniejesz!” /28

‘You do not exist!’

Trzecia ścieżka /41

The third path

Ręka na ramieniu /51

The hand on my shoulder

CZĘŚĆ II /60

Każdy jest wybrany /62

Everyone is chosen

Dzień zero /67

Day zero

„Idź i rób swoje” /75

‘Go and do your job’

Kościół czeka długo /83

The Church waits for a long time

Więcej i więcej każdego dnia /93

More and more every day

CZĘŚĆ III /104

DNA Stwórcy /106

The Creator's DNA

Twarz Boga /118

The face of God

Po prostu za darmo /133

Just for free

Bóg chce nas wszystkich /140

God wants all of us

„Zaczęliśmy od numeru 2” /153

‘We started from number 2’

ZAKOŃCZENIE /160

O AUTORZE /162

To był straszny dzień. Moja pierwsza bitwa na tej wojnie i od razu najtrudniejsza. Walczyłem w dziesięcioosobowym oddziale. Zewsząd padały strzały, ludzie krzyczeli...

Jeden z moich przyjaciół oddychał jeszcze. Podczołgałem się do niego. Był cały w krwi. Siedziałem na ziemi i płakałem, zupełnie bezradny; nie wiedziałem, jak mu pomóc. Miałem trzynaście lat. Byłem tylko dzieckiem, któremu ktoś dał do ręki karabin...

Słyszałem, jak bije jego serce. Słyszałem to bardzo wyraźnie, bo miałem ucho tuż przy jego piersi. Bicie jego serca zwalniało i zwalniało, aż w końcu w pewnym momencie wszystko ucichło...

Wróciłem do domu. Długo nie mogłem się otrząsnąć. Ciągle słyszałem to ostatnie uderzenie serca.

Tamtego dnia zginęło dziewięciu moich przyjaciół. Ocalałem tylko ja.

część





„WOJNA PRZYSZŁA POD MÓJ DOM...”

‘THE WAR HAS COME TO MY HOUSE...’

Miałem szczęśliwe dzieciństwo. Ot, normalne dzieciństwo w małej wiejskiej miejscowości. Było beztrosko, szczególnie wiosną i latem, gdy pola pokrywały się kwiatami, a nocami można było leżeć na plecach i godzinami wpatrywać się w wygwieżdżone niebo. Całe dnie biegaliśmy z chłopakami po łąkach, goniąc motyle i ptaki.

W naszej wiosce wszyscy się znali. Mieszkaliśmy z rodzicami, z babcią, dziadkiem i wujkami w jednym domu, ale nie dlatego, że nie było innej możliwości. W Libanie to



Pierwsze miesiące życia
(1961–1962 r.)

normalne, że żyjemy w dużych rodzinach i trzymamy się razem.

Miałem wspaniałą kochającą się rodzinę. Było tak wesoło, tak spokojnie... Nawet moja szkoła... W niczym nie przypominała szkół, jakie teraz znamy. Wśród kolegów i nauczycieli czułem się autentycznie szczęśliwy! Pamiętam, że szedłem do szkoły z wielkim entuzjazmem. Uwielbiałem się uczyć i szło mi to naprawdę dobrze; z moim wysokim IQ wygrywałem różne konkursy. Szczególnie lubiłem przedmioty matematyczne i przyrodnicze. Był taki czas, że na temat fizyki, biologii i kosmologii czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce.

To były lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Moda na zapuszczanie włosów i spodnie z białymi paskami po bokach dotarła także do Libanu. Z długimi włosami i bródką wyglądałem jak rasowy hipis i tak też myślałem o świecie. Kochałem muzykę i wolność, do wszystkich byłem nastawiony pokojowo.

Z sześcioma kolegami założyliśmy zespół. Ja grałem na bębnach i gitarze. Było tak dobrze! Wierzyliśmy, że świat należy do nas. Co złego mogło nam się przydarzyć? Wówczas nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo się mylę. Nie wiedziałem też, jak szybko będę musiał dorosnąć.

Moje dzieciństwo skończyło się nagle, z dnia na dzień. Byłem w dziewiątej klasie, gdy doszło do pierwszych zamieszek we wschodnim Bejrucie i jego okolicach, a potem stopniowo wojna domowa objęła cały Liban.

Któregoś dnia zebraliśmy się z chłopakami na dobrze nam znanym bejruckim skwerku, bo mieliśmy mieć próbę. Zostawiłem przyjaciół dosłownie na chwilę, gdyż byliśmy bez śniadania, i postanowiłem, że skoczę do pobliskiej piekarni po coś do jedzenia. Bomba spadła, gdy wychodziłem z piekarni. Usłyszałem ogłuszający huk, samochody płonęły, a moi przyjaciele leżeli martwi na ulicy, rozerwani na kawałki pociskiem z Tall az-Zatar*. Zginęli wszyscy, cała szóstka. Gdybym nie poszedł po śniadanie, zginąłbym także i ja.

Tamtego dnia zrozumiałem, że nie mam wyboru. Wojna przyszła pod mój dom. Zdecydowałem, że odkładam gitarę, a biorę do ręki karabin. I tak trzynastolatek z długimi włosami dołączył do chrześcijańskich sił zbrojnych Libanu.

Byłem jednym z najmłodszych żołnierzy w historii Libanu, ale wówczas nikt nie zwracał sobie tym głowy. Dali mi broń, przeszedłem krótkie szkolenie w posługiwaniu się karabinami maszynowymi, granatami i tym podobnymi rzeczami i ani się obejrzałem, a już znalazłem się na froncie, który przebiegał tuż za moim domem... Z hipisa przeobraziłem się w żołnierza. Nie wiedziałem, co to strach, siedłem tam, gdzie toczyły się najkrwawsze walki. Pchałem się pod ostrzał wroga, ryzykowałem. Chciałem umrzeć. Chciałem iść w ślady swoich kolegów. „Gdzie oni są? – pytałem. – Czy ich już nie ma? Czy zamienili się w popiół?”...

* Obóz uchodźców Tall az-Zatar powstał w 1948 roku. Mieścił się w północno-wschodnim Bejrucie i był największym oraz najlepiej umocnionym obozem palestyńskim.



Z braćmi (1976 r.)

Od początku nienawidziłem tej wojny. Nie prosiłem się o nią. Nie poszedłem na nią, bo tak chciałem. Nie chciałem walczyć, nie chciałem zabijać. Wojna była najgorszą podróżą mojego życia i gdybym dziś mógł wybierać, nie pchałbym się po raz drugi na front. Wówczas jednak czułem, że nie mam wyboru. Jednego dnia szedłem do szkoły, pewny, że nic mi nie grozi, szczęśliwy, a drugiego patrzyłem na zakrwawione zwłoki przyjaciół.

Kiedy koledzy z zespołu zginęli na bejruckim skwerze, pomyślałem: „Muszę bronić tego, co jest dla mnie ważne. Muszę stanąć w obronie mojej wioski, moich rodziców, mojego Kościoła, moich ludzi. Nie mogę dopuścić

do tego, by wojna zabrała mi jeszcze kogoś z moich bliskich. Albo pozwolę, by przyszli i zabili moją matkę, mojego ojca, moje rodzeństwo, a mój dom zrównali z ziemią, albo będę się bronił”. Bronilem się więc i walczyłem, ale nie dlatego, że nienawidziłem tych Palestyńczyków. Po prostu nie widziałem innego wyjścia. Podejrzewam zresztą, że ludzie, do których strzelałem, mogli czuć się równie bezsilni i dezorientowani jak ja. No ale to oni mnie zaatakowali, więc co miałem robić? Krzyknąć im: „Chodźcie i zabijcie nas”?

Dziś chcę jasno powiedzieć, że nie brałem nigdy udziału w żadnej wojnie, która nie wiązałaby się z samoobroną. Walka o władzę, o wpływy, o terytoria – nie mam i nie chcę mieć z tym nic wspólnego, zresztą nigdy bym się w coś takiego nie zaangażował. Zawsze kierowała mną miłość do tego, co stało za mną, a nie nienawiść do człowieka, którego widziałem przed sobą.

Krwawe masakry i pogromy stały się odtąd moją codziennością. Ataki terrorystyczne, miny... Ludzie wokół mnie wciąż ginęli. Każdego dnia.

Przed wojną mieszkaliśmy obok siebie w zgodzie. Nikt w sąsiedztwie nie miał broni, nikt nie umiał się nią posługiwać. Tuż obok był obóz palestyński wypełniony uzbrojonymi ludźmi, ale my byliśmy nastawieni pokojowo. Myśleliśmy: „Dlaczego Palestyńczyk miałby przyjść i strzelać do ciebie lub Syryjczyka?”. A potem nas zaatakowali...

Z moją rodziną
(1976 r.)



Żebyśmy jeszcze byli wyszkoleni, to może potrafilibyśmy stawić lepszy opór i skuteczniej się obronić. Ale nie byliśmy. Nie było na to czasu, wszystko działo się szybko. Za szybko. Rano budziłeś się obok kolegi z oddziału, a wieczorem tego samego dnia widziałeś go w drewnianym pudełku...

SEKRET DZIADKA

GRANDPA'S SECRET

Pytania o Boga zadawałem sobie na długo przed wojną.

W mojej rodzinie wiarę traktowano bardzo poważnie. Rodzicie i dziadek wciąż mówili mi o Chrystusie, o Matce Bożej, o świętych; praktyki religijne były dla mnie czymś naturalnym. Wspólnie modliliśmy się, chodziliśmy razem na msze święte i nikomu nie przychodziło do głowy, że mogłoby być inaczej. A jednak już jako dziecko miałem kilka problemów z wiarą.

Problemem był mój dziadek, który był... księdzem*. I wcale nie chodzi mi o to, że mój dziadek robił coś naganego albo dawał złe świadectwo. Wręcz przeciwnie! Dziadek był dla nas wszystkich autorytetem i najważniejszą osobą w rodzinie. Podziwialiśmy go! We mnie jednak zasiał wątpliwości. Mój problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziałem, czym właściwie dziadek się zajmuje i jaki sens ma jego praca.

Najpierw powiedziano mi, że dziadek współpracuje z Bogiem. Ale co on właściwie robi? Co wytwarza? Co produkuje? Z moim tatą, który był fryzjerem, nie miałem

* Kościół maronicki jest Kościołem katolickim obrządku wschodniego, w pełnej komunii ze Stolicą Apostolską. W Libanie Kościół maronicki ma swój własny obrządek, inny niż łaciński. W tym obrządku msza święta sprawowana jest w języku arabskim z elementami syriackiego (dialekt aramejski). W kościele maronickim dopuszcza się kapłaństwo żonatych mężczyzn (źródło: maronici.pl i opoka.org.pl).

Mój dziadek-ksiądz



podobnych dylematów. Wielokrotnie obserwowałem jego pracę, widziałem ludzi, którzy wchodził do środka z jedną fryzurą, a wychodzą z inną. Podobnie było z wujkiem, który pracował jako stolarz... Tu także wszystko wydawało się oczywiste. Po prostu wujek brał kawałki drewna, zaniósł je do swojego zakładu, a potem wynosił z tego zakładu gotowe stoły, krzesła i inne przedmioty. Dla mnie więc „normalna” praca polegała na tym, że coś powstawało, coś ulegało zmianie, coś stawało się doskonalsze, lepsze, bardziej pożyteczne. Ale jaki sens miała praca mojego dziadka?

Wiedziałem, że mój dziadek pracuje z Bogiem w kościele, więc gdy przychodziła niedziela i szliśmy do kościoła, to rozumiałem to trochę tak, że idę odwiedzić mojego dziadka w jego zakładzie pracy. Tak na marginesie, chodzenie w niedzielę do kościoła wspominam jako istny koszmar. Dla mnie jako dziecka msza była po prostu nudna, a w dodatku ciągnęła się w nieskończoność. Posłusznie chodziłem z moją rodziną do kościoła, powstrzymując się na zewnątrz od okazywania niezadowolenia, ale w głębi duszy czekałem tylko na to, aż msza się skończy. No i oczywiście obserwowałem z uwagą, co robi mój dziadek.

Najbardziej byłem zdziwiony tym, że na koniec ceremonii ludzie ustawiają się w kolejce, podchodzą do mojego dziadka, otwierają usta, a dziadek podaje każdemu do ust kawałek chleba. Problem w tym, że to ja te hostie wypiekałem w naszym domu! W każdą sobotę wypiekaliśmy ich z babcią setki! Połowę od razu zjadałem, a reszta trafiała do kościoła. No i co? Następnego dnia widziałem na mszy ludzi, którzy ustawiali się w kolejce tylko po to, by każdy

mógł dostać do ust jedną taką hostię. Nie mogłem się temu nadziwić! Kombinowałem, że przecież byłoby dla nich lepiej, gdybym ich nauczył, jak się robi te chlebki, bo wtedy mogliby sobie je wypiekać sami i najadać się nimi do syta. A tak, muszą tu przychodzić, nudzić się na mszy, a na koniec ustawiać w kolejce, żeby dostać tylko jeden kawałek?! Dla mnie było to tyleż niezrozumiałe, co po prostu kompletnie nieracjonalne!

Zatem praca mojego dziadka pozostawała dla mnie zagadką i wciąż nurtowało mnie, jaki jest jej sens. A że byłem dzieckiem dociekliwym, to gdy msza się kończyła, podchodziłem do dziadka niezmiennie z tym samym pytaniem: „Co ty robisz w życiu? Czym się zajmujesz? Jaki sens ma twoja praca?”.

W końcu dziadek odsłonił mi swój sekret. Powiedział mi tak: „Kiedy się modłę w czasie Eucharystii, Bóg, który jest miłością, zstępuje z nieba i wchodzi w ten opłatek. Ludzie, którzy go przyjmują, napęniają się miłością i mogą się nawzajem kochać”. I dodał: „Kiedy dorosisz, to zrozumiesz”. No więc postanowiłem szybko dorosnąć.

W szkole dowiedziałem się, że Bóg jest Tym, który wszystko stworzył: galaktyki, gwiazdy, mnie, mojego dziadka... Wszystko. Pomyślałem sobie: „On musi być naprawdę wielki”.

Potem odkryłem Jezusa.

Na I Komunię Świętą dostałem od chrzestnej mamy bardzo ładnie wydaną książkę zatytułowaną *Najpiękniejsza*

Niedziela Palmowa
(1965 r.)





historia świata. To była Ewangelia, tyle że opowiedziana przystępnym językiem, w dodatku z przepięknymi ilustracjami. Przeczytałem ją jednym tchem i... zakochałem się w Jezusie. Cóż to za wspaniały człowiek! Wskrzesza umarłych, zatrzymuje burzę, uzdrawia chorych... Na końcu robi się trochę smutno, bo umiera, ale na tym przecież nie koniec, bo zmartwychwstaje, a więc ostatecznie wygrywał! Prawdziwy bohater.

W miarę jak dorastałem, dziecięca biblia przedstawiała mi wystarczać, sięgnąłem więc po prawdziwą Biblię. Czytałem ją codziennie i bardzo mi się to podobało. Dni mijały, a ja coraz bardziej kochałem Jezusa.

Sprawa nie była jednak prosta: Jezus jest Bogiem, ponieważ tak zostało napisane w Biblii. Miałem więc już jakby „dwóch bogów”: jeden był Stwórcą wszechświata, a drugim był Jezus Chrystus, o którym czytałem w Biblii – tak to sobie wówczas układałem w głowie. Był też „trzeci bóg”, ten z Eucharystii. No a przecież uczono mnie, że to jeden i ten sam Bóg... Jakby tego było mało, później dowiedziałem się jeszcze o „czwartym bogu”...

Któregoś dnia byłem z tatą na farmie i przyglądałem się krowom. Zauważyłem, że one w gruncie rzeczy robią to samo, co ludzie, a ich życie jest bardzo podobne do naszego. Jedzą, piją, śpią, mają dzieci, a potem umierają. Zapytałem tatę, jaka jest różnica między mną a krową. Był trochę zaskoczony tym pytaniem, ale chyba zdążył się już przyzwyczaić do tego, że jego syn miewa różne dylematy. Odpowiedział mi, że różnica polega na tym, iż człowiek ma w środku Boga, a krowy Go nie mają. Powiedziałem: „Jak to? Przecież krowy robią to samo co ludzie!”, ale on raz jeszcze powtórzył: „Ty masz w środku Boga, a krowa nie ma”.

Rozmyślałem o tym wszystkim i czułem się coraz mocniej zagubiony. Bóg był Stworzycielem, Bóg był Chrystusem, Bóg był w Eucharystii i Bóg był we mnie w środku... Zacząłem Go szukać. I nie przestawałem zadawać pytań na miarę mojego dziecięcego umysłu.

Te pytania zawsze były podobne. Jaki jest sens życia i gdzie tak naprawdę jest Bóg? Dlaczego nie mogę Go zobaczyć, dotknąć, porozumieć się z Nim? Uznałem, że skoro stworzył wszechświat, to chyba musi być między gwiazdami. Może w jakiejś odległej galaktyce? Wtedy właśnie

zacząłem interesować się fizyką i postanowiłem zgłębić budowę kosmosu. Wczytywałem się w naukowe opracowania o gwiazdach, galaktykach, o powstaniu wszechświata. Sięgałem po wszystko, co mogło pogłębić moją wiedzę, ponieważ sądziłem, że w ten sposób odkryję Boga. Można powiedzieć, że zająłem się nauką z tego właśnie powodu: bo chciałem wytłumaczyć jakoś sekret mojego dziadka.

Dziś uśmiecham się do tych wspomnień. Z perspektywy czasu widzę, że były to spokojne poszukiwania i pokojowo zadawane Bogu pytania. Do czasu...

A Ty?
Co tak naprawdę
kochasz?

ODKRYJ SWOJE POWOŁANIE

WWW.RTCK.PL

Czy wiesz, po co przyszedłeś na ten świat? Dlaczego jesteś tu i TERAZ?

Zainspiruj się niezwykłą historią Raymonda Nadera, który **od 30 lat rozmawia ze św. Szarbelem i nosi na ramieniu odcisk jego dłoni**. Poznaj trudne, ale pełne Bożego działania losy człowieka, któremu **św. Szarbel przekazuje orędzia dla całego świata**.

– Na twojej koszuli są krople krwi – zauważył człowiek, który stał obok.

– Naprawdę? – zdziwiłem się, gdyż nie czułem najmniejszego bólu.

Podwinąłem rękaw i okazało się, że odcisk ręki jest równie wyraźny, jak za pierwszym razem. Poszedłem do przeora i powiedziałem:

– To się znowu stało.

– Wygląda na to, że masz do zrobienia ze św. Szarbelem duży projekt...

Ludzie patrzą na mnie, na moje ramię, i widzą we mnie kogoś wyjątkowego. To nie jest przywilej. To raczej przydział. W oczach Boga żaden człowiek nie jest szczególnie uprzywilejowany.

Mamy tę samą godność i te same szanse. Każdemu z nas Bóg wyznacza konkretne zadanie do wykonania. Tak samo mnie, jak i Tobie.

[fragmenty książki]

Co masz do zrobienia między swoim pierwszym a ostatnim oddechem?

Kim jest Raymond Nader?

Libański katolik-maronita, dyrektor chrześcijańskiej telewizji Noursat. Od 1994 r. nosi na ramieniu odcisk dłoni św. Szarbela. Od tamtego czasu doświadczył kilkudziesięciu spotkań ze św. Szarbelem. Jako zaufany współpracownik patriarchy maronitów, kard. Becharry Boutrosa al-Rahiego, podróżuje po całym świecie, dając świadectwo wiary i przekazując orędzia św. Szarbela.



ludzie o żywym sercu